

Nazywam się Sylwester Stallone — alea

Od autora: Przed przeczytaniem proponuję odnaleźć soundtrack do Rambo i Rocky'ego na Youtube i sobie puścić. Potem można sobie w kącie popłakać, tak po męsku. Nikt się nie będzie śmiał.

Wracam często do tamtych amerykańskich lasów. Skaliste szczyty, ostre kamienie, grube pnie drzew, zimne strumienie. Nie pamiętam, czy uciekałem, czy goniłem niewinnego człowieka.

Brodziłem po kolana, strzelałem w znikające cienie. Czułem bliskie zwycięstwo, zapach krwi. Z przyjemnością, nie ukrywam tego, wracałem myślami do czasów, gdy mieszkałem w wielkim, smutnym mieście. Jego główną część wypełniał stary surowy park, pełen wieczornych i porannych homoseksualistów, chowających się po krzakach. W dzień prostymi, jasnymi ścieżkami szły matki, pchające różowe lub błękitne wózki. Kiedy biegłem zmierzchem, zdumiewało mnie jak nasz purytański i chrześcijański świat, oddaje pola satanistom, punkom oraz wykolejeńcom. Nie przeszkadzało mi to, miałem swoje sprawy. Pragnąłem jedynie trenować, z czerwoną przepaską na czole, w beżowo - szarym dresie. Biegłem, zatrzymywałem się na brzuszki i pompki. A gdy nikt nie patrzył robiłem przysiady. Do walki został wówczas miesiąc. Okres ciężki: wypełniony treningiem, sparingami z Meksykańcami, bezsensownym bieganiem, oraz moją ulubioną skakanką. Pragnąłem przygotować się najlepiej jak umiałem. Jeszcze nie wiedziałem, że to czas, kiedy przygotowuję się, nie do bokerskiego pojedynku, lecz do walki o ojczyznę, o amerykański styl życia.

Marzyłem o medalach, pasach, a dostałem na koniec order i uścisk dłoni Prezydenta w Białym Domu.

Przyznaję się, straciłem poczucie rzeczywistości. Byłem zwykłym amerykańskim chłopakiem z marzeniami, wrzuconym na głębszą wodę. Nauczyłem się pływać, ale kiedy dopłynąłem do brzegu, okazał się pełen wrogów.

Uciekałem, przestałem być bohaterem. Ścigali mnie, i to po zdarzeniu, które było przecież niepotrzebnym nieporozumieniem.

Ale oni podeszli do tego poważnie, wzięli sobie za punkt honoru złapać mnie.

- Słuchaj, koleś - wielki facet w podkoszulku na ramiączkach przypominał wyrośniętą dziewczuchę z obwisłym biustem.

Gdyby jego wypłowiała, zbyt często prana biała koszulka, była nieco dłuższa to mógłbym przysiąc, że to jest to kusa, ale jednak sukienka. Taka weselna, szalona kreacja. Kobieca fanaberia.

Nie podzieliłem się z nikim rewelacjami. Wolałem siedzieć cicho w kącie.

- Nic, ale to nic, nie chcę od ciebie. Po prostu próbuję obejrzeć film. Rozumiesz, że to dla mnie ważne? - wypuściłem w stronę wielkoluda potok słów, ale nie zrozumiał. Jedyne, co docierało do pustego łba to ciemność głębokiej nocy. On chciał spać, a ja świeciłem mu w oczy swoim smartfonem. Przeszkadzałem.

Nie mogłem zrozumieć, że filmy z Sylwestrem Stallone są dla mnie ważne, że dzięki Sylwkowi potrafiłem przetrwać wszystko. Wszystko!

I najważniejsze.

Sylwester Stallone to ja. Stałem się nim. W każdej postaci. Głupek zadarł z Rambo i Rocky.

Nie miał szans. Nie miał, kurwa, żadnych szans!

- Do cholery! Zamknij wreszcie tę mordę i daj spać! - z tylnej pryczy odezwał się mały, łysawy gościu. Był typowym, wystraszonego nerwusem, ale plecy wielkiego kolegi pozwalały mu na małą, jakże ważną dla niego, chwilę odwagi.

- Przepraszam i dobranoc - powiedziałem, bo żadna kłótnia w więzieniu nie ma sensu. Przykryłem się

kołdrą, włożyłem mocniej w uszy słuchawki i przyciszyłem delikatnie fonię. Dali mi spokój. Wróciłem do moich lat osiemdziesiątych i wreszcie zasnąłem.

Obudziła mnie codzienna krzątanka. Krzysiu wstał wcześniej. Próbował robić przysiady, ale ponieważ oficjalnie bolały go plecy to powiedział tylko "Pierdolę gimnastykę, wolę się napić". Nie miał czego, więc kopnął ze złości w moje łóżko.

- Krzysiu - jęknąłem - możesz się łaskawie ode mnie odpierdolić?

- Co? Co powiedziałaś, jebany lamusie w okularkach? - Wściekł się na mnie, ale wiedział, że to nie ja, a jego własne ciało robiło mu na złość.

- Po prostu nie kop w moje łóżko - odpowiedziałem łaskawie.

- Będę, kurwa, kopał ile chcę! - wrzasnął i znowu się zamachnął. Powstrzymał go baryton, który odezwał się z góry:

- Ono też jest moje. Kiedy zrozumiesz ten prosty fakt?

Krzysiu się przestraszył, że kolejny raz będzie moczenie włosów w kiblu, ale Adam, leżący nad moją pryczą ulitował się. Zszedł z góry niespiesznie, niemalże majestatycznie. Poczułem jak moja prycza sprężynuje, oddycha przy każdym jego ruchu. Gdy postawił wielkie, niemyte od tygodnia, stopy na zimnej posadzce, nasza wspólna konstrukcja sypialna odetchnęła z ulgą. Adam stanął obok Krzysia. Górząc nad nim dwie głowy i kilkadziesiąt kilo, delikatnie, nieinwazyjnie pstryknął go w twarz. Krzysiu upadł i nie wstał do siódmej piętnaście rano czyli do pierwszego obchodu klawiszy.

- Co się stało, Krzysiu? - zapytał strażnik, dokładnie kwadrans przed śniadaniem.

Krzysiek wstawał powoli, badając każdą chrząstkę w twarzy.

- Nic wielkiego. Upadłem i później postanowiłem protestować.

- Protestować? - klawisz przestraszył się prowokacji. Nie miał ochoty na żadną polityczną drakę. Był głodny i jedyne czego pragnął, to ciepły, poranny posiłek razem z więźniami. Oczywiście serwowany w osobnej, bezpiecznej sali.

- Chodzi o przeciążenie ziemskie. Nie mam zaufania do liczby "g". Jest przerysowana. Weźmy takie piórko, pierze gęsie na ten przykład...

- Krzysiu, nie interesuje mnie to... - zniecierpliwił się strażnik.

- Pana nie interesuje grawitacja?

- Nie interesuje wcale.

- Ach, pozazdrościć tylko - rzekł Krzysio i posmutniał. Często tracił humor jeszcze przed pierwszym posiłkiem.

Poszliśmy na śniadanie, a potem rozeszliśmy się do codziennych zajęć.

Ja siedziałem w bibliotece. Był tam stary odtwarzacz video i kilka kaset. Kasety były moje, oczywista sprawa.

Włączyłem pierwszą z brzegu. Usiadłem razem z Marcelem, Wojtkiem zwanym Sebą i Markiem, ksywka Komiks. W zachwyceniu obejrzelśmy pierwszą część Rambo. Strażnik miał nas wołać na obiad, ale sam się przysiadł i tak spędziłem jeden z nielicznych, beztrudnych dni w więzieniu.

Takich dni nie było później za wiele.

Kilka dni później odwiedziła mnie dziewczyna, z którą się spotykałem przed odsiadką. Pracowała wciąż u jebanego Wietnamczyka i tej jego niskiej, pyskatej żony. Mieli parkę dzieci. Wyglądały jak miniaturowe skośne pudelki, tyle że dużo brzydsze i potrafiące różne sztuczki na hulajnodze.

Wietnamczyk w nachalny sposób podrywał moją dziewczynę, aż się doczekał.

Teraz jeździ na wózku, w środy ma opłaconą przez NFZ rehabilitację. Ogólna diagnoza: niedowład dolnych kończyn. Są unerwione, ale bardzo słabe, można rzec pozbawione naturalnych odruchów.

Nie rozumiem nic a nic. Skakałem po jego głowie, a on nie może, kurwa, chodzić? Gdzie tu sens i logika?

- Nigdzie nie ma sensu, mój misiu-patysiu. To on powinien siedzieć, a nie ty - uspokajała mnie po raz kolejny.

Nie chciałem tego. Kiedy patrzyłem na nią, wyobrażałem sobie, co powinien zrobić Stallone. Tego nie znalazłem w jego filmach i strasznie mnie to złościło. Nie powinna przychodzić do więzienia, nawet jeśli coś do mnie czuje. Co dają takie wizyty, oprócz pogłębiającego się smutku, który ogarnął mnie?

Milczałem, co mogłem więcej? Tak długo nie przejawiałem zainteresowania, aż upokorzona sobie poszła w cholerę. Załzawiona, z zaczerwionymi, podkrążonymi oczami i drżącymi ramionami. Bez nadziei na lepsze życie.

Wróciłem na pryczę. Tu czułem się najlepiej. Nikt nie zauważył, kiedy znowu znalazłem się w gęstym, amerykańskim lesie. Zimny wartki strumyk płynął w dół, Zacierał moje ślady, lecz nie dawał wytchnienia. Dookoła było cicho, drzewa wysoko w niebo wystrzeliły, zasłaniając mnie przed światem. Stałem się samotnym uciekinierem. Jak Sylwester Stallone.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

alea, dodano 11.05.2017 10:12

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.